Cena 30 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką

ZACZYN

TYGODNIK

Nr. 17 (74) Warszawa, czwartek dnia 28 kwietnia 1938 r. Rok III

PROBLEM RZĄDU

W zagadnieniach techniki państwowej wysuwa się na czoło problem rządu, czyli ten kompleks czynności i prac, którym kieruje premier z gabinetem.

Należy tutaj eliminować z pojęcia rządu niedopuszczalnie wprost wiązany z nim zakres działalności biurokracji, czyli aparatu wykonawczego w państwie (biurokracja, używa się tutaj w tym dobrym znaczeniu).

Przeprowadźmyż linię demarkacyjną, która oddzielałaby zakres zagadnienia rządu od zakresu biurokracji, aby tym jaśniejszymi uczynić dalsze wywody. Otóż przeznaczeniem i funkcją biurokracji jest wykonywanie każdorazowych planów, z którymi każdy rząd przychodzi do władzy. Stąd nie wartości badawczo - planistyczne i koncepcyjne cechować winny biurokrację, lecz posiadanie takiej gamy możliwości twórczej, by mogła ona w sposób zdecydowanie państwowy, bezbłędny i bez straty wykonać plan, przedsięwzięty przez rząd. Każda praca teoretyczna, każde besserwisserstwo biurokracji zasadniczo psułoby harmonię realizacji planu. Twórczość w zakresie realizowania, szczegółowe sposoby realizacji, nie przekraczające zakresu metod, podanych w samym planie, oto dopuszczalna granica górna teoretycznej twórczości biurokracji. Krótko więc: biurokracja winna być tak przygotowana, by zdolna była realizować dowolną (byle realną) koncepcję planową rządu.

Pozornie skromna rola, ale jakże trudna.

Należy posiadać wszechstronne możliwości, lecz nie zasklepiać się w tradycyjnym sposobie, w klasycznym uzgadnianiu realizacji z t. zw. przedaktami, pochodzącymi z aktywności (lub... bierności) poprzedniego gabinetu. Stąd system wychowania biurokracji winien być tym bardziej pieczołowity, zdolności nieprzeciętne, by sprostać nieznanym, bo nieprzygotowanym przez nią planom.

Inaczej przedstawia się zagadnienie rządu. Linia rządu wywodzić się winna z pracy koncepcyjno - badawczej, z wielkiej i szerokiej działalności teoretycznej, z kontaktu z wieloma poglądami i planami, będącymi wyrazem epoki i konieczności państwowych. Premier winien wywodzić się, zanim dostanie misję, z ośrodków Sturm und Drang'u programowego, skąd winien wynieść określony typ myślenia politycznego, musi być nacechowany typem pewnej szkoły programowej.

Odrzucając rzadkość talentów i genialności, należy założyć, że cechować musi premiera nie tylko znajomość teorii rządzenia i techniki państwowej związanej z epoką, lecz i żywy udział w twórczej pracy teoretycznej nowych ruchów umysłowych, to praca w kontakcie z ponadrządowym i niebiurokratycznym biurem planów i studiów, to wreszcie stałe trzymanie ręki na pulsie aktualnych prac rządowych, stwierdzanie i linii zawodnych i godnych kontynuowania.

Oto wizerunek, oto konterfekt przyszłego premiera, czyli szefa rządu. Naturalnie mowa tu o szefie rządu programowego, bo dla celów wegetatywno - rządowych, dla celów „urzędowania", a nie rządzenia, dla celów realizowania haseł „frontem do Wisły" nie potrzeba aż takich mądrości, takiego stage'u i „hodowlanej" atmosfery prac kandydata na szefa rządu. Wystarczy blondyn, wystarczy człowiek o silnej ręce, lub zdolny taktyk, osoba popularna, mająca mir na „lewicy" lub na „prawicy" — zależnie od kursu gry politycznej gabinetu.

Te wyżej podane warunki są konieczne dla uchronienia się przed spotykanym u nas często zjawiskiem, że naprawdę przygotowanym (we własnym mniemaniu) do rządzenia bywa dopiero expremier. Okres premierostwa staje się w ten sposób raczej okresem nauki, niż rządzenia. To samo można rzec o ministrach.

Stosując metodę eliminacji, za zupełnie niedorzeczne w rządach planowych należy uważać sytem awansowania na członków rządu przedstawicieli biurokracji, bez odbycia przez nich teoretycznego stage'u, bez zetknięcia się z programowością o szerszym zakresie, niż granice resortu. Tylko w systemie o pomieszanych funkcjach teoretycznych z wykonawczymi możliwym jest zacieranie się linii demarkacyjnej pomiędzy ośrodkiem biurokracji a ośrodkiem rządu.

Zakładając, że mamy do czynienia z państwem typu autorytatywnego, w którym dyspozycja społeczna parlamentu ustępuje przed decyzją głowy państwa, jego zastępcy albo pewnego zespołu „czynników decydujących", — możemy zdefiniować misję premiera i jego rządu, jako: *powołanych przez czynnik decydujący do realizo-*

W poprzednim numerze

„ZACZYNU"

Chory nacjonalizm. — Szachownica zagadnień. — Odgłosy w dyskusji. — Istota „konfliktu". — W sprawie Brzozowskiego. — Katolicyzm-narodowy socjalizm-protestantyzm. — Środowisko a wykształcenie. — Porozumienie angielsko - włoskie.

---

wania planu państwowego, wybranego z szeregu możliwych planów jako najbardziej odpowiedniego dla realizacji w obecnym okresie. Definicję tę uzupełniamy warunkami. Plan jest znany premierowi i członkom rządu w całości i szczegółach. Znane im są również metody i czasokres wykonania planu oraz możliwe wariacje jego w wypadku spotkania się z nieprzezwyciężonymi trudnościami.

I jeszcze jeden warunek konieczny. Przez plan rozumiemy całościowe ujęcie zagadnień państwowych oraz państwowej regulacji spraw społecznych, czyli opracowanie problemów graniczące w szczegółowości ujęcia z formą promulgacyjną czyli Dziennikiem Ustaw. Wszelkie ogólnikowe ujęcia, jak „frontem do wsi", „sprawiedliwość społeczna", „Polska dla Polaków", „kartele to wróg" — nie należy traktować jak plan, lecz jako polityczno - agitacyjne i demagogiczne hasła, słowa bez pokrycia. Również nie jest planem odcinkowa misja gabinetu, jak: przeprowadzenie wyborów, pacyfikacja mniejszości, zrealizowanie pewnych posunięć gospodarczych itp. czynności rządów, które nazwalibyśmy *wegetatywnymi*.

Rozumie się, że rząd twórczy i planowo - programowy jest do pomyślenia tylko i jedynie na tle bogactwa teoretycznego pracy centralnego biura planowania, znajdującego się poza zasięgiem czynnika biurokratycznego i rządu, lecz pod bezpośrednim dozorem owych konstytucyjnych lub zwyczajowych „czynników decydujących".

Centralne biuro planowania w państwie nowoczesnym, lub mającym ambicję i konieczność unowocześnienia się, winno być odcięte od wpływów i infiltracji czynnika biurokracji, jako zasadniczo nietwórczego teoretycznie, lecz wykonawczego. Niemniej nie może podlegać ono rządowi, jako mającemu misję realizowania określonego planu z ewentualnymi wariacjami. Upór przy jednym planie zwichnąłby prace centralnego biura planowania, przeznaczonego do tworzenia wielu mutacyj planistycznych wobec istnienia wielopostaciowej możliwości teoretycznych rozwiązań problemów państwowych.

Wielopostaciowość to znaczy zerwanie z determinizmem „jedynych realnych możliwości", jak to się modnie mówi, to oznacza stawianie na radykalizm i maksymalizm, na twórczą rewolucyjność teoretyczną. Ośrodek o pracy tego typu może znajdować się tylko poza normatywnym systemem techniki państwowej, jako ośrodek największego krytycyzmu i „opozycji" na najwyższym poziomie. Ośrodek ten może działać tylko i jedynie pod protektoratem i kompetencją najwyższych czynników w państwie.

On może zastąpić najsurowszą opozycję przeciwrządową.

Z tej wielopostaciowości planów, z wypracowanych mutacyj A, B, C, D itd. dokona wyboru planu czynnik decydujący, dając ten plan premierowi do wykonania.

U podstawy więc nowoczesnego rządu leży wyjaśniony przez nas czynnik *planowości*.

Z czynnika planowości wypływa drugi postulat problematyki nowoczesnego rządu: *jednolitość*.

Tak — bezkompromisowa i bezwarunkowa jednolitość, wypływająca wprost z zasady, że bogactwo poglądów na realizację nie powinno mieć miejsca w łonie rządu. Ośrodki ustalania się i walki poglądów winny znajdować się poza normatywnym układem państwowym, poza aparatem rządu.

Walka światopoglądowa na wysokim poziomie, w zakresie problematyki państwowej, rozporządzająca najwyższymi możliwościami dokumentacji i ścisłego dowodu, to centralne biuro planowania, dopuszczające do ścierania się poglądów referentów zagadnień. Decyduje tu „czynnik miarodajny" przez aprobatę jednego z wypracowanych planów.

Walka na poziomie niższym, bo w zakresie ścierania się interesów grup społecznych, odbywać się może w parlamencie, jako debaty przedstawicielstwa społecznego.

Wreszcie ruchy umysłowe, teoretyczne, piśmiennictwo, publicystyka — to pożądane a dostępne dla czynników decydujących i ośrodków planistycznych, przejawy walki światopoglądowej mogącej być weryfikowaną z planami centralnego biura. Rządowi zostaje jako kanon nieodparty zasada jednolitości światopoglądowej, czyli uniwersalnej, i programowej, czyli planistycznej.

W imię tak pojętej jednolitości Mussolini dokonywał w swoim czasie „unię personalną" tek ministerialnych, skupiając do 6 resortów w swym ręku. W imię jednolitości Józef Piłsudski sprawował stałą pieczę nad dwoma resortami polityki naprawdę planowej: sił zbrojnych i spraw zagranicznych.

Zasada jednolitości rządu nie była rozumiana w okresach partyjnej bakchanalii przedmajowej, gdy na targach partyjnych i licytacjach politycznych kupowano resorty państwowe. Tajemnicą jest, że Ministerstwo Robót Publicznych mieli lewicowcy, MWR. i OP. — endecja, Ministerstwo Skarbu prototyp dzisiejszego Lewiatana, resort Sprawiedliwości — endecja, Ministerstwo Rolnictwa — konserwa itp. Mimo wielkich wysiłków koordynacyjnych, mimo pracy niezmordowanej nad ujednoliceniem aparatu państwowego, walki z paragrafami i szachownicą zagadnień, prowadzoną przez Józefa Piłsudskiego, nie dało się do końca wyplenić „partyjności" resortów państwowych, i po wygnaniu partyjności politycznej, został duch faktycznej autonomii resortowej, własnego światopoglądu i poglądu na sprawy państwowe w każdym resorcie.

Dużo wysiłku Józefa Piłsudskiego nad ujednoliceniem i komasacją problemów państwowych w rządzie nie zostało zrozumianych. Musiał dla pilnowania spraw państwowych w resortach tworzyć biura wojskowe. To wszystko były tendencje ujednolicenia.

Tu i owdzie słyszymy głosy, że jednolitość rządu oznaczałaby fanatyzm polityczny, nie odzwierciadlający różnolitości u społeczeństwa. Spotykamy się z twierdzeniami, że rząd jednolity pewnego kierunku byłby czerwoną płachtą na „byków" kierunków opozycyjnych, powodując dalsze rozpłomienienie ruchów politycznych.

Na to odpowiadamy już formułowaną przez nas teorią. Przesadza się u nas znaczenie partii politycznych, opanowania przez nich mas, zdolności i możliwości programowych tych partii. Uważamy, że konsolidację opinii publicznej (tej szerokiej i dogłębnej, masowej, a nie krzykackiej i demagogicznej) można przeprowadzić tylko na tle:

1) niewątpliwych czysto państwowych aktywności na wielką skalę (siły zbrojne, polityka zagraniczna, wychowanie, gospodarka);

2) podniesienia na wyższy poziom ogólnego stylu życia społecznego i wytworzenia warunków rozwoju dobrobytu (likwidacja bezrobocia, przebudowa struktury rolnej etc.).

Te sprawy są pierwiastkowe w stosunku do t. zw. konsolidacji. Akcje rzeczowe tego rodzaju, szerokie i wydajne, może prowadzić tylko czynnik państwowy, czyli rząd i to tylko o plan oparty, więc jednolity.

Katalog zagadnień państwowych i plany ich realizacji zostały w Polsce tu i owdzie opracowane. Nawet nieskonsolidowane politycznie społeczeństwo, jak tego mamy liczne dowody, coraz bardziej konsoliduje się w czekaniu na przejawy samodzielnej i szerokiej programowej akcji państwa.

Wyprana z fanatyzmu politycznego, lecz wyłącznie rzeczowa akcja realizacyjna ma wszelkie widoki powodzenia, więcej jest nieodzownym warunkiem konsolidacji światopoglądowej (jeśli nie organizacyjnej) szerokich rzesz obywateli.

Zaczynać więc należy od realizowania problemu programowego i o plan opartego jednolitego rządu. Niechże poza jego nawiasem odbywa się wymiana zdań i ścieranie się poglądów społecznych. Czekać na ich krystalizację państwo nie może, jako organizacja ciągła i operująca narzuconymi koniecznościami, niezbyt dobrze rozumianymi przez niewychowane zastępy społecznych polityków, besserwisserów zawodowych, którym trudno zawsze i wszędzie dogodzić.

Nie wolno odbijać w krzywym zwierciadle niejednolitego rządu dekompozycji politycznej. Otrzymujemy coś wręcz krzywego do kwadratu. Nie wolno uprawiać kompromisów programowych na terenie rządu, gdy dokoła nas działają błyskawiczne dyktatorskie aktywności, od lat paru oparte o plany państwowe.

Tymbardziej nie wolno tego czynić w Polsce, w której mamy taki stan politycznego wyścigu do władzy, że rozchwytana zostanie książka p. t. „Jak zostać wodzem" a pójdzie do koszów broszura „O racjonalnej gospodarce rolnej".

Czyż w 12 lat po rewolucji majowej, której 13-go maja będziemy obchodzili rocznicę, nie stać nas na rząd jednolity, obwarowany przed atakami partyjnej i hałaśliwej „ulicy" politycznej, dobrze sprecyzowanym i ściśle realizowanym interesem państwowym, ponadspołecznym, ponadgrupowym, aklasowym i apartyjnym?!

Taki rząd może być jednolitym i może nie być czerwoną płachtą. Czyż nie ma poza alternatywą lewicy i prawicy — państwowej myśli? Twierdzimy, że zaczyn tej myśli szeroko ogarnął ośrodki państwowe w Polsce.

Postęp i „postępowcy"

Przez wiele lat szermowano w Polsce pojęciem „prawicy" i „lewicy" tworząc na zasadzie tych pojęć linie podziału przebiegające przez społeczeństwo. W ostatnim czasie chyba wszyscy zrozumieli już na szczęście bezsens takiego podziału. W Polsce, gdzie „prawica" sprzeciwia się Konstytucji wnoszącej autorytatywność rządów, „lewica" sprzymierza się z wielkim przemysłem, liberałowie wołają o policję na wyższych uczelniach, a młodzież prawicowa walczy o ich autonomię, podział taki jest conajmniej przestarzały.

Po załamaniu się tej paradoksalnej „linii podziału" zwolennicy szufladkowania, schematyzowania, a co najważniejsze *nazywania* wszelkich zjawisk politycznych, próbowali bazować na antynomii totalizmu i demokracji. Ten fałszywy przedział również nie wytrzymał próby życia. Coraz wyraźniej szerzy się przekonanie, tak silnie stale podkreślane przez nasze pismo, że te istotne i nieprzemijające wartości, leżące u podstaw moralnych zdrowo pojętej demokracji, a więc zasada sprawiedliwości społecznej, prawa równego startu życiowego, podniesienia stopy życiowej najszerszych mas itp., mogą być dzisiaj realizowane jedynie przez silny autorytatywny ustrój państwowy, podczas gdy słabość przeżytych form parlamentarnych osłania w praktyce interesy klasowe tych grup, które z ludem nie wiele mają wspólnego. Tak więc do świadomości ogółu coraz wyraźniej dociera fakt, że między zdrowo pojętą demokracją społeczną (nie polityczną) a totalizmem, żadnej sprzeczności i antynomii nie ma.

Wobec tego zwolennicy słów i haseł sięgnęli do arsenału zapomnianych już powiedzonek i dzielą wszelkie inicjatywy czy ugrupowania *na postępowe i reakcyjne*. Hasło *postępowości* wskrzeszone z niepamięci XIX wieku ma się stać sztandarem dawnej lewicy czy demokracji po zgraniu się politycznym tych pojęć. Czytamy *o postępowych* ugrupowaniach, *o postępowych* pismach i *o postępowych* jednostkach. Spróbujmy tedy rozważyć zagadnienie postępowości i reakcji, czy zachowawczości, według bowiem naszego zdania *hasła postępu głoszą dziś ugrupowania najbardziej reakcyjne, natomiast prawdziwe idee postępu wzniecają się zupełnie gdzie indziej*.

Przede wszystkim trzeba się zastanowić co to jest postęp? Wiek XIX-y przelał chyba całe morze atramentu nad ustaleniem tego pojęcia. Pomimo jednak nadzwyczaj różnorodnego ujmowania tego problemu, pomimo szalonego bogactwa teorii i koncepcji jakimi wiek XIX rozporządzał, pomimo pozornych sprzeczności i antynomii można we wszystkich ujęciach postępu XIX-go wieku znaleść wewnętrzne pokrewieństwo i nad wyraz przejrzystą współzależność.

Wszystkie miały u podstaw elementy determinizmu, pewien z góry zakładany automatyzm, według którego postęp polegał nie na wytwarzaniu zupełnie nowych wartości, ale na spełnianiu kolejnych etapów uprzednio przewidzianej ewolucji.

Zarówno materializm dziejowy Marksa, jak ewolucjonizm Spencera czy pozytywizm Comte'a, jak słusznie podkreślał to Brzozowski, muszą być uznane za różne postacie i strony jednego i tego sqmego światopoglądu, a przynajmniej jednego i tego samego stanowisku myślowego wobec świata. Zasadza się ono na wierze w niezmienność praw rządzących różnorodnością faktów i w to, że poznanie tych praw jest punktem wyjścia do wszelkiego postępu i ustalenia wszelkich wartości i kierunków działania.

W tym świetle postęp był rozumiany nawskroś hedonistycznie, jako przystosowanie się do procesów rozwoju wynikłego żywiołowo i niemal biologicznie poza osobistą twórczością.

Dla Marksa, czy może raczej Engelsa przyjmujących konflikt za podstawą dynamiki, rozwój czy postęp odbywa się poprzez urzeczywistnianie się pewnych eapów walki klas i prowadzi do przewidzianej i nieodparcie zbliżającej się epoki powszechnej szczęśliwości.

Spencer widzi postęp we wzrastającym przystosowaniu się do sił działających w życiu ludzkim z przyrodniczą niemal koniecznością, w ustalaniu bezwzględnej koordynacji i współżycia ludzkiego, w dążeniu do szczęścia pojętego jako wartość bezwzględna uzasadniona sama w sobie.

Nawet idealizm historyczny Gustawa le Bon uznaje wielkie stałe prawa za kierujące ogólnym pochodem każdej cywilizacji, uznaje *idee kierownicze*, widzi historię zdeterminowaną i ściśle uzależnioną od pewnych niezmiennych cech, narodowego charakteru.

Niezmienność pewnych praw, nieuchronność wyprowadzanych z nich konfliktów (wszystki jedno czy będzie to konflikt *idej* jak i idealistów, czy konflikt rzeczy jak u materialistów, czy *wartości psychicznych* czy też *sił produkcyjnych* z wyłączeniem elementu ludzkiego) a co za tem idzie *automatyzm historyczny*. Jako konsekwencja tych podstaw myślowych utwierdziła się wiara w mechanicznie pojęty postęp stopniowo zbliżający do ściśle przewidzianego stanu. Ruchy społeczne wywodzące swe rodowody z myślenia XIX-go wieku bardzo silnie i bardzo chętnie szermują hasłem postępu, wiążąc swe poczynania z przebiegiem spodziewanego procesu rozwojowego i znajdując w tem gwarancje skuteczności i ostatecznego sukcesu poczynań.

Ten podstawowy błąd leżący u fundamentów myślenia XIX wieku mści się niezwykle srogo na jego głosicielach i wyznawcach. Ponieważ wszelkie formy twórczości i pracy, warunki rozwoju, środki produkcji i źródła inspiracji psychicznej zmieniają się znacznie szybciej niż skończone i gotowe już wzory i schematy, sprawia to stosunkowo szybkie kostnienie i dezaktualizowanie się doktryn opartych na organicznej teorii postępu. Sam zaś fakt wtórności tych doktryn w stosunku do procesów rozwojowych i przewidywanego ich przebiegu, jest najwyraźniejszym zaprzeczeniem nowocześnie pojętego postępu.

Tak więc na płaszczyźnie ściśle metodologicznej (zanim przejdziemy do przykładów życiowych) możemy obserwować wewnętrzną sprzeczność i elementy najbardziej reakcyjne i antypostępowe zatajone w hasłach postępu XIX-go wieku.

W dzisiejszym, nowoczesnym pojmowaniu postępu dominuje przekonanie o konieczności świadomego kształtowania dziejów, o konieczności stwarzania i stanowienia warunków, a nie podporządkowywania się ich fatalizmowi.

Pierwszych wzorów tych prawd światopoglądowych szukać by trzeba w „Actiontheorie" Münstera, w antymechanistycznych koncepcjach Sorela z jego teorią o wytwórczości i pracy jako źródle i czynniku wszelkiego postępu ludzkości, w syntezach Brzozowskiego, czy w osiągnięciach najnowszej filozofii. W takim pojęciu postęp, nie warunkowany zespołem prawd obiektywnych, polega na najpełniejszej twórczości w całym bogactwie jej nieoczekiwanych efektów, a nie na stopniowym dociąganiu do statyki założonych konstrukcyj. Postępowym będzie to wszystko co wyzwala coraz to nowe możliwości, co stwarza coraz to nowe dobra ze wszystkich zakresów, jedynym miernikiem postępu może być tylko skuteczność osiągnięć, a nie stopień zbliżenia do papierowego ideału.

Spróbujmy przerzucić te rozważania teoretyczne na tło tak zwanej rzeczywistości politycznej.

Obóz, głoszący się w Polsce postępowym jest całkiem logiczną konsekwencją podłoża metodologicznego, na którym wyrastają jego hasła.

Przyjęcie pewnego schematu myślowego, pewnej konstrukcji, mającej nieuchronnie wyniknąć z dialektyki faktów i niezmiennych praw, które niemi rządzą, kompletna aberacja w stosunku do wszystkiego nie podpadającego pod ustalony wzorzec, oto skutki determinizmu światopoglądowego.

Wszystko co się nie mieści w ramach szablonu, wszystko co nie leży na wytyczonej drodze rzekomego postępu to jest zbliżania się do ustalonego obrazu, wszystko, co jednym słowem nie jest wygodne dla umysłowego filisterstwa, odrzucane jest jako reakcja. A tym czasem coraz to nowe wartości narastające ze wszystkich stron w nieopanowanym bogactwie twórczości, wymagają coraz to nowych konstrukcyj myślowych, coraz to innych zachowań się, coraz to nowych zdobyczy przeprowadzając tą właśnie drogą linię prawdziwego postępu.

Skoro rozejrzymy się gdzie dzisiaj są ośrodki prawdziwej twórczości, a gdzie niewolnicze kultywowanie dawno nieaktualnych zasad, to bez trudu dostrzeżemy linię podziału pomiędzy obozem prawdziwego postępu a obozem reakcji.

Sfery głoszące hasła „postępu" nic nie rozumieją z dynamiki nowej twórczości, nie dostrzegają olbrzymich zmian zachodzących w świecie. Nie chcą widzieć że zagadnienia gospo-

darcze przestały być układem w sobie zamkniętym, że ekonomia służyć dziś musi względom pozagospodarczym, nie widzą olbrzymiego przewartościowania się pojęć wolności, dzięki którym prawdziwą wolność tj. wolność tworzenia, wolność udziału w głębokich procesach psychicznych, daje jedynie wprowadzenie w wyższy układ organizacyjny zespołowości (w powierzchownym ujęciu z tą właśnie wolnością sprzeczny) nie rozumieją, że nowoczesne formy wytwarzania, narzucone przez technikę, wymagają wprowadzenia w życie zbiorowe idei kierownictwa i hierarchii gwarantujących niezbędną planowość i koordynację, że ożywiająca ich szeregi idea uspołecznienia życia w najszerszym tego słowa znaczeniu, nie da się przeprowadzić od dołu lecz tylko przez totalną i centralną realizację wielkich planów państwowych.

Na tym tle rzekomo postępowe hasła kręcące się naiwnie dookoła ordynacji wyborczej, a w najlepszym wypadku uspołecznienia środków produkcji, jałowa frazeologia liberalna, demokratyczna czy klasowa, wszystko to razem staje się sztandarem tendencyj najbardziej zachowawczych, dążących do utrzymania nie istniejącego stanu rzeczy, lecz obecnych form myślenia i recept, mających rzekomo tą rzeczywistość zmienić. Tymczasem środowiska postępowe nie z haseł ale z ducha, rozumieją nie tylko konieczność wielkich zmian, ale i narzędzi, którymi należy ich dokonać, a narzędzia te to zarówno najabstrakcyjniejsze spekulacje metodologiczne i światopoglądowe, jak i pochodne od nich użytkowe rozważania teoretyczne, metody techniczno-organizacyjne i całkiem praktyczne wskazania programowe.

Postulatem postępu jest współuczestniczenie w olbrzymich inicjatywach twórczych jakich jesteśmy świadkami, dotrzymanie kroku nowoczesnym systemom politycznym państw inych i wzbogacenie ogólnego dorobku przez odrębny wkład własnej twórczości. Droga do tego nie prowadzi poprzez *głoszenie* haseł postępu, lecz poprzez zerwanie z wszystkimi refleksami ubiegłego stulecia i rozwinięcie dróg rozwojowych naszego państwa w formy nowoczesnej organizacji.

Reasumujemy te rozważania krótko; w polskim obozie „postępowym" kwitnie w najlepsze najwyraźniejsza reakcja i zachowawczość. Prawdziwych postępowców szukać trzeba zupełnie gdzieindziej, w szeregach świadomych państwowców.

(18).

Prof. dr. Leopold Caro

Teorie Narodowego Socjalizmu

W najbliższym czasie ukaże się dzieło zbiorowe Biblioteki Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego we Lwowie p. t. „Polityka gospodarcza Trzeciej Rzeszy".

Pierwszą część tego dzieła stanowi praca prof. Leopolda Caro p. t. „Przewrót gospodarczy w Trzeciej Rzeszy".

Korzystając z uprzejmości p. prof. Caro, który zechciał nam nadesłać część rękopisu zamieszczamy poniżej fragment z tej pracy.

Już *Adam Müller* uczył na początku XIX wieku, że „państwo jest całością *(Totalität)* spraw ludzkich, ich połączeniem w jedną żywą całość". Państwo obejmuje wszystko, jest pojęciem zbyt wielkim, zbyt żywym, by istnieć mogło wyłącznie dla osiągnięcia porządku, wolności, bezpieczeństwa, prawa czy powszechnego szczęścia. „Służy ono im wszystkim.. służąc samemu sobie". *(Elemente der Staatskunst.* I 36/37. wyd. nowe Lipsk 1931).

Fryderyk *List* był pierwszym, który przecząc istnieniu międzynarodowej harmonii interesów, wymyślonej przez angielskich liberalistów udowodnił, że odmienny poziom rozwoju gospodarczego poszczególnych narodów (posiadających własne państwa) pociągać winien za sobą odmienny ich punkt widzenia w kwestiach gospodarczych i stąd sprzeciwił się wolnej konkurencji międzynarodowej, zajął krytyczne stanowisko wobec postulatu wolnego handlu, przyznając jednocześnie, że gdyby był Anglikiem, nie kwestionowałby zupełnie punktu widzenia Adama Smitha. *(Schriften, Reden, Briefe* — Berlin 1930. T. VI, str. 47). Rezultatem tego poglądu musiało być żądanie, by państwo stanęło w obronie narodowych interesów gospodarczych i zaniechało bezpłodnego stanowiska *laissez fair'yzmu.*

Jak List kładł nacisk na różnice narodowe i różne stopnie kulturalne rozmaitych narodów, uzasadniając nimi konieczność odrębnych systemów i ustrojów gospodarczych, tak Karol *Knies* a po nim Wilhelm *Roscher* oraz Gustaw *Schmoller* i jego szkoła wysuwali na pierwszy plan odmienność stosunków gospodarczo-społecznych oraz niedomagań i środków zaradczych w różnych epokach historii tego samego narodu.

W tym związku „prawa" ekonomiczne traciły cechę praw przyrodniczych wiecznie trwałych i ogólnie obowiązujących a stawały się tendencjami czy analogiami zjawisk wywołanych i modyfikowanych przez narodowość, religię, stopień wykształcenia, wpływy otoczenia, wychowania, rasę, nawet przez obyczaje i zabobony a w ostatnim stadium przez wolę ludzką. Wobec zbliżonego kierunku rozwoju u narodów ras białych, ich ciągłej styczności między sobą i ich trwałej rywalizacji, zjawiska owe mogą okazać się do siebie podobne u różnych narodów i w różnych epokach historii. Obok wszakże podobieństw dostrzec można i różnice, co stwierdza względność sformułowanych przez liberalizm angielski zarówno „praw", jak i „zasadniczych" pojęć. Dzieje wykazują odmienne poglądy różnych narodów i czasów na dążenie do zysku jako rzekomo jedynej pobudki i jedynego celu produkcji, na pojęcie własności prywatnej, które ulegało ciągłym modyfikacjom jakotęż rozmaite wnioski, wyciągane z tych odmiennych poglądów i pojęć.

Międzynarodowy liberalizm, formułujący absolutne „prawa", tym samym poprzestawał na badaniu tego, co jest, (i to tylko wśród narodów najbardziej uprzemysłowionych), sądzą mylnie, że pobudki gospodarcze były i będą takie same w każdej epoce i w każdym narodzie. Trwałą zdobyczą szkoły historyczno-etycznej było 1) obniżenie owych „praw" do poziomu tendencyj, tylko częściowo i *rebus sic stantibus* prawdziwych, 2) rozszerzenie badań na wszelkie *stawanie się,* 3) wyodrębnienie osobnej nauki ekonomiki indywidualnej obok ekonomiki społecznej czy narodowej.

Ekonomika liberalna ograniczała się do badania produkcji, rozdziału i konsumcji towarów, zapomniawszy o tym, któremu miały służyć i dla którego zostały stworzone: o *człowieku* i pocieszając się apriorycznym i dowolnym przypuszczeniem, że gdy pozostawi się obrót samemu sobie a rządy nie będą mu narzucały swych przepisów, wszystko pójdzie samo doskonale, potrzeby wszystkich będą zaspokojone, każdy towar trafi do swego konsumenta, każdy konsument zyska nieodzowne do nabycia go fundusze, słowem zapanuje raj na ziemi, albowiem już fizyokraci (zmęczeni nadmiarem przepisów państwa policyjnego), powiedzieli dawno: *„le monde va de lui même".*

Zadanie gospodarstwa koncentrowało się tedy według liberalizmu ekonomicznego w produkcji. Takie postawienie kwestii ignorowało po prostu współżycie większej ilości ludzi w społeczeństwie. W istocie rzeczy współżycie to może mieć tylko jeden cel gospodarczy: by zapotrzebowanie znajdowało zawsze pełne pokrycie, wywołane produkcją a produkcja zaspokajająca potrzeby towarów natrafiła *w pełni* na zapotrzebowanie, i to wyposażone w fundusze, wystarczające dla ich nabycia. Taki trwały zgodoḋźwięk zapotrzebowania i pokrycia to dopiero cel gospodarstwa, jak wywodzi profesor berliński *v. Gottl-Ottlilienfeld* w dziele *„Wirtschaft und Wissenschaft"* (Jena 1931). Ekonomikę określa on jako „naukę empiryczną o życiu gospodarczym wszystkich czasów i narodów". Schemat będzie błędny, jeśli zestawimy ze sobą martwe i wszędzie zgodne ze sobą towary; będzie trafny, jeśli nacisk położymy na rzeczywiste funkcje, wykonywane przy produkcji i wymianie przez żywych ludzi, na działania, które nie mogą być wszędzie jednakowe, nie dadzą się tedy podciągnąć pod martwy szablon — tudzież na ich stosunek między sobą. Powtóre każdy człowiek jest również członkiem rodziny, gminy, narodu, państwa, stowarzyszenia, zawodu. W każdej z tych dziedzin jego funkcje objawiają się na różnych polach, a więc rozmaicie a jednocześnie jest on całością, obejmującą w sobie wszystkie te funkcje, wskutek czego każde jego działanie podlega jednocześnie pobudkom, zaczerpniętym z tych wszystkich rozmaitych dziedzin.

Z takiego pojmowania wynika nieprawdziwość pojęcia „człowieka ekonomicznego", przyjętego w ekonomice liberalnej. *Homo oeconomicus* „to pajac pociągany na jedynym sznurku, przedstawiającym zysk" *(Gottl: Läuterung d. nat. ök. Denkens als deutsche Aufgabe.* Berlin 1934). Gospodarstwo jest rezultatem uświadomienia sobie braku harmonii między zapotrzebowaniem (pożądaniem, wolą) a pokryciem (zaspokojeniem, możnością) i dąży do wyrównania istniejących między nimi różnic. „Kształtowanie współżycia ludzkiego w duchu trwałej zgodności między zapotrzebowaniem a pokryciem to istota i sens gospodarstwa"

(*Gottl: Wesen und Grundbegriffe der Wirtschaft*, Lipsk 1934). Wytwarzanie owej trwałej zgodności to najważniejsze zadanie ekonomiki. Podczas gdy w *przedsiębiorstwie* dwa stałe bieguny stanowią produkcja i zbyt, gdyż celem jego jest osiągnięcie indywidualnego zysku, w *gospodarstwie* bieguny te to: zapotrzebowanie i zaspokojenie go.

Definicja ta stanowi równocześnie *najsilniejszą i najsłabszą* stronę ekonomiki narodowo-socjalistycznej.

Najsilniejszą o tyle, że przenosi słusznie punkt ciężkości z fikcyjnej zgodności wymiany towarów u wszystkich narodów i we wszystkich czasach, zgodności skonstruowanej dowolnie a niezgodnie z prawdą przez liberalizm ekonomiczny na prawdę odrębną dla różnych narodów i różnych czasów, mniej ogólną, ale za to zgodną z rzeczywistością.

Najsłabszą jednocześnie, bo w definicji owej nie ma mowy o hamulcu etyki, wobec czego zabór siłą może mieścić się również w granicach metod zaspokojenia popytu. Jeżeli liberalizm ekonomiczny doszedł do zwyrodnienia w hyperkapitalizmie Europy zachodniej i (do niedawna) Stanów Zjednoczonych, przyznając przywileje i przewagę ruchomemu kapitałowi i groźnemu dla ogółu sprytowi jednostek — to teoria powyższa tak samo zapewnia w stosunku między narodami przewagę sile fizycznej czy intelektualnej, w pokoju czy w wojnie zaborczej, byle bodaj w obrębie pewnego narodu zwyciężyła zasada równowagi między zapotrzebowaniem a pokryciem.

W gruncie rzeczy tę samą zasadę wyznawały nietylko w dziedzinie władztwa ale i w dziedzinie gospodarczej wszystkie narody mniej lub więcej *pierwotne*. Zabór kolonij zamorskich, obfitujących w ważne surowce miał niewątpliwie również — a może przeważnie — tło i pobudki gospodarcze. Ale prowadząc równocześnie do podniesienia poziomu kulturalnego narodów podbitych, stojących przeważnie na niższym poziomie rozwoju cywilizacyjnego przynosił tym narodom i pewne korzyści trwałe. A przy tym nie wykluczał odzyskania przez nie pełnej niepodległości politycznej i gospodarczej w przyszłości. Gdyby nawet takie stanowisko było uznane za obłudne, widzieć w nim należy przynajmniej *implicite* uznanie, że i w stosunkach gospodarczych międzynarodowych obowiązywać winne zasady etyczne.

Pogląd von Gottla tej obłudy, określonej słusznie jako „ukłon w stronę cnoty" nie zawiera. Skoro zapotrzebowaniu nie odpowiada pokrycie, to trzeba je wszak zdobyć, zdobyć przede wszystkim dla własnego narodu i państwa. Gdyby etyka w jego systemie miała przyznany sobie jakiś głos, wiedzielibyśmy, że autor jego uznaje pewne granice, jedne sposoby dopuszcza, drugich się wyrzeka. Ale o tym nie ma mowy. I tu jest ta sama zgubna „suwerenność" ekonomiki, nie dopuszczającej do głosu na swoim terenie ani żadnej innej nauki ani nawet tych elementarnych warunków współżycia ludzkiego, które wszakże i w dziedzinie gospodarczej obowiązywać winne. Konflikt ten doskonale wyczuwa narodowy socjalizm, skoro konsekwentnie, ale błędnie ponad religię pozytywną, ponad chrześciaństwo stawia dobro narodu wybranego tj. oczywiście Niemiec.

Mogłoby się wydawać, że etyka tu się sama przez się rozumie, gdyby nie fakt, że wszyscy pisarze narodowo-socjalistyczni etykę pomijają z całą świadomością. I tak mówi Friedrich Bauer (*Der Arbeitseinsatz i. d. Wehrwirtschaft*), że *wszystko*, co służy gospodarce niemieckiej jest dobre a co się z jej interesami nie zgadza jest złe, a znakomity filozof prawa i socjolog Wilhelm Glungler, którego niektórzy porównują z wielkim Rudolfem Iheringiem a którego wiedeński profesor Liszt nazywa wprost genialnym, określa w dziele „Volk und Staat" prawo jako to, co dla państwa i dla narodu zorganizowanego w państwo jest konieczne. A jeszcze wyraźniej mówi minister *Hans Frank*: „*Wszystko*, co przynosi pożytek narodowi, jest prawem; *wszystko*, co mu szkodzi, bezprawiem".

A co do definicji Glunglera brak wyjaśnienia *co* jest konieczne: O konieczności orzekać mają nie zasady etyki chrześcijańskiej, ale „zdrowy sąd narodu" — a więc nie miara obiektywna, ogólno-ludzka lecz subiektywny i to bardzo elastyczny miernik. Zdrowy sąd! Czyż nie będzie on u każdego narodu inny? I czyż nie może zjawić się w każdym narodzie mniejszość, która będzie twierdziła, uporczywie, że za jej a nie większości poglądem przemawia „zdrowy sąd narodu". Czy pogląd różnych jednostek tudzież sumienie ich reaguje jednakowo? Gdyby większość lub ci, którzy są u władzy zmienili zdanie, zmienią ustawy, ale jeśli zmieni zdanie mniejszość lub większość, pozbawiona władzy, ustawy pozostaną te same. W każdym razie powstać może konflikt między prawem obowiązującym (ustawą) a prawem natury.

Glungler częściowo wyjaśnia swój pogląd i uspokaja obawy — ale tylko częściowo. „Konieczność" w jego rozumieniu to bądź doskonalenie narodu bądź odwracanie od niego grożącego mu niebezpieczeństwa. Jeśli to określenie podłożymy pod przytoczoną wyżej definicję prawa, to otrzymamy tekst następujący:

„Prawo to jest to, co dla państwa i dla narodu, zorganizowanego w państwo jest konieczne bądź dla jego doskonalenia bądź też dla odwrócenia od niego grożącego mu niebezpieczeństwa". Przyjmując nawet, że autor mówiąc o doskonaleniu miał na myśli doskonalenie w dziedzinie ducha i nie podnosząc tu żadnych wątpliwości, pozostaje nie wyjaśnioną kwestia, czy to, co naród przedsięweźmie dla odwrócenia grożącego mu niebezpieczeństwa, zawsze będzie prawem? Mówmy przykładem. Niemcy twierdzą, że skutkiem traktatu wersalskiego pozbawieni zostali wielkich przestrzeni, dostarczających im poprzednio zboża i mięsa. Twierdzą, że są narodem bez przestrzeni (*Volk ohne Raum*). Grozi im, rzekomo, głód. Czy w tych warunkach bodaj za lat kilkanaście, gdy przybędzie Niemcom znowu ludności nie byłoby „prawem" np. odebranie Polsce choćby części Poznańskiego lub Pomorza?

Glungler uznaje wprawdzie prawo do życia i innych narodów — i niejednokrotnie stwierdzał to w sposób autorytatywny sam kanclerz. Ale wszak i tu możnaby odpowiedzieć: Polska może istnieć a nawet być samowystarczalna pod względem zbożowym i hodowlanym, choćby np. część jednego województwa odstąpiła Niemcom. Sprzeciwiałby się temu fakt, że owa ziemia zaludnioną jest niemal wyłącznie przez *Polaków* — ale czyż głód nie stanowi dostatecznego argumentu, uzasadniającego „konieczność" zaboru?

Nie chciałbym być niesprawiedliwym. Nie wątpię, że ani kanclerz sam ani wymienieni tu uczeni niemieccy nie używaliby podobnych wybiegów. Ale pragnę wskazać, że rozumowanie tak Gottla jak Glunglera pozostawia furtkę, którą należałoby zamurować przy pomocy lepszej definicji, uwzględniającej w sposób niewątpliwy postulat etyki.

Jeżeli — rozumuje dalej Gottl-Ottlilienfeld (w pracy *Wesen und Grundegriffe der wirtschaft*, Leipzig 1934), istotną treścią gospodarstwa ma być tworzenie trwałej zgodności między zapotrzebowaniem a pokryciem, w takim razie koniecznym jest dla gospodarującego dokładny pogląd na wielkość zapotrzebowania, aby mógł do niego dostosować rozmiary produkcji, stanowiącej pokrycie. W tym rozumieniu mieści się uzasadnienie *gospodarki planowanej*, głoszonej przez narodowy socjalizm. Tam, gdzie pokrycie nastąpić może *w rozmaity* sposób, np. potrzeba opału czy światła przy pomocy drzewa, węgla, torfu, nafty, czy prądu elektrycznego, rozstrzygające będą dalsze okoliczności, jak łatwość uzyskania danego środka zaspokojenia, jego cena targowa i wielkość zużycia itd., na które również przy układaniu planu należy zwrócić uwagę. Gdyby w danym państwie nie było surowców potrzebnych do przeróbki w wystarczającej ilości, a w interesie aktywności bilansu handlowego leżałoby niesprowadzanie owych surowców z zagranicy, decydującą rolę w planowaniu odegrały surowce syntetyczne, wytwarzane w drodze fabrycznej wewnątrz kraju. Trwała zgodność między zapotrzebowaniem a pokryciem musi równocześnie przestrzegać zasady takiego współdziałania wszelkich dostępnych czynników krycia, któreby służyło zarówno interesom i wprost życiu tak jednostki jak i społeczeństwa przy utrzymaniu naturalnego pierwszeństwa dobra publicznego przed prywatnym. I tu więc znajdujemy potwierdzenie kierującej zasady narodowego socjalizmu, głoszącej to pierwszeństwo wbrew ekonomice liberalizmu ekonomicznego.

Planowanie, wywodzi dalej nasz autor, odgrywać może mniejszą rolę tak w gospodarstwie indywidualnym jak i w *prywatnym* społeczeństwie, w którym dzięki tradycji czy obyczajom, gospodarstwo samo reguluje pożądany stosunek między zapotrzebowaniem a pokryciem. W skomplikowanym ustroju gospodarczym chwili obecnej, świadome planowanie ze strony bądź wielkiego przemysłu, bądź władzy rządowej i wydanie odpowiednich ustaw, staje się niejednokrotnie nieodzownym. Celem planowania nie będzie atoli wzmożenie produkcji do jak największych rozmiarów, nie będzie *maximum* ale *optimum* w stosunku do zapotrzebowania. I tu więc zaprzeczenie stanowiska ekonomiki liberalnej.

Wreszcie nacisk na czynniki pozagospodarcze, stale negowane przez tę ekonomikę, mającą pretensję do „suwerenności", a dzięki niedopuszczeniu do głosu innych czynników poza ściśle gospodarczymi — *ograniczoną i niezgodną z prawdą*. Faktycznie czynnik dobra społecznego oraz czynnik politycznego władztwa odgrywają w każdej czynności gospodarczej bardzo doniosłą rolę. Pomijanie tych czynników doprowadza każde przewidywanie gospodarcze do wyników fałszywych i taki los nieuchronnie spotyka na każdym kroku ekonomikę liberalną. Gottl - Ottlilienfeld słusznie wykazuje nieustanne przenikanie czynników tych do gospodarstwa, wykazując, że zarówno pycha izolacji, cechująca ekonomikę liberalną, jak i otwarta furtka ratunkowa w postaci odrębnego gmachu polityki społecznej, doprowadziły gospodarnieodzowną także przez kapitastwo współczesne do fatalnych wyników.

W miejsce walki klas, głoszonej przez socjalną demokrację i komunizm Ottlilienfeld wypisuje na swym sztandarze konieczność wcielania jednostek ludzkich do poszczególnych korporacyj, powołanych do rozstrzygania istniejących między nimi sporów o wynagrodzenie za pracę w imię słuszności i w obrębie korporacji, bez walki i ciągłego zaostrzania przeciwieństw, owszem z kładzeniem nacisku na wspólny interes społeczny i narodowo-państwowy wszystkich. Skoro życie każdej jednostki jest jedno, uwzględnienie w nim tylko czynnika gospodarczego, jest jednostronnością, sprzeczną z rzeczywistym stanem rzeczy. Naród, państwo i gospodarstwo stanowią jedną całość. Żaden z tych czynników nie może być tedy rozpatrywany bez uwzględnienia dwóch innych. Jak pań-

stwo winno pamiętać o interesach narodu i gospodarstwa, tak gospodarstwo nie może pomijać interesów narodu i państwa.

Gospodarstwo, zapominające o narodzie, dba tylko o samolubny interes jednostki, o zysk, który staje się sam sobie celem. „Dlatego teoria ekonomiki liberalnej jest dla wszelkiej społeczności, dla każdego państwa zabójcza. Zadaniem i wzniosłym obowiązkiem państwa jest walka z niebezpieczeństwem, połączonym z rozpadem narodu, państwa i gospodarstwa, które z samej swej istoty zmierzają ku działaniu w zespole". Teoria ekonomiki liberalnej to „cyrk towarów połączony z akrobatyką cen, wykonywaną na matematycznym trapezie" aluzja do znanej i w Polsce szkody matematycznej w ekonomice neoliberalnej). Teoria prawdziwa polegać winna na służbie gospodarstwa na rzecz społeczeństwa i państwa — wtedy dopiero będzie ona odpowiadała wymogom życia.

Gospodarka była w okresie kapitalistycznym czymś odrębnym od narodu. Najlepszym tego dowodem była ciągła obawa mas, że się im w okresie kryzysu wypowie zajęcie. A przecież te masy, żyjące pod ową groźbą, stanowiły naród. I naród bał się gospodarstwa! Podnosi to Fritz *Nonnenbruch* w książce: *Die dynamische Wirtschaft* (München, 1936). Okres kapitalistyczny liczył w kryzysie na automatyzm, który rzekomo usunie nasilenie. Ale naturalnie lekarstwo to zawiodło. A nie przyszło tym panom nawet na myśl powołanie do działania żywych sił narodu. *Praca* bowiem tylko zapłodnić może gospodarstwo a tylko gospodarstwo zapłodnione przez pracę rodzi dobrobyt. Fałszem natomiast jest, jakoby kapitał dostarczać mógł pracy, która w takim razie zależna byłaby nieodwołalnie i niezmiennie od kapitału. Jeśli tedy skutkiem kryzysu wstrzymano pracę w fabrykach i warsztatach, tym samym utrwalono tylko kryzys i przeszkodzono zwycięstwu dobrobytu. Właśnie w czasie kryzysu należało spotęgować pracę i tą drogą sparaliżować działanie przesilenia. Ale tego jeszcze wówczas nie rozumiano.

W okresie kapitalistycznym lud był jeno środkiem, gospodarstwo celem. W okresie narodowo - socjalistycznym jest odwrotnie. A właśnie poglądy i uczucia mają wbrew temu, czego uczy ekonomika kapitalistyczna, znaczenie rozstrzygające. Wrzekoma „rzeczowość" poprzedniego okresu była w istocie pozbawiona duszy. W Rosji bolszewickiej istnieje ciągła sprzeczność między zarządzeniami treści społecznej na korzyść szerokich warstw a interesami produkcji i handlu, które owym zarządzeniom są przeciwne. Tych ustawicznych sprzeczności w polityce gospodarczej Niemiec zupełnie nie ma; cały bowiem naród z włączeniem owych mas uznaje gospodarstwo za *swoje* i rząd idzie stale w tym kierunku.

(c. d. n.).

O nadużyciu słowa „katolicki"

Drobny incydent z transmisją kazania księdza arcybiskupa Teodorowicza stał się powodem całego szeregu conajmniej dziwnych komentarzy i wystąpień, które nabrały wagi z powodu nieprzewidzianej ingerencji w te sprawy Katolickiej Agencji Prasowej. Cała sprawa — sama przez się — jest małej wagi, niemniej jednak z nią związany sposób budzenia niepokojów w opinii publicznej nasuwa, czy nawet zmusza do uwag ogólniejszego charakteru.

W samej bowiem rzeczy sprawa jest bardzo prosta. Przez radio miało być nadane kazanie rekolekcyjne, a więc przemówienie, co do którego automatycznie musi się przywiązywać treść natury religijnej, czyli zagadnienia nie podlegające jakimś cenzurom, czy ograniczeniom. W rzeczywistości przez radio poczęła płynąć treść polityczna znanego i czynnego polityka, o tak namiętnym temperamencie bojowo-politycznym, że aż sam Rzym musiał swego czasu zakazać byłemu senatorowi Rzplitej ponownego ubiegania się o mandat z powszechnych wyborów. Radio nie jest dziennikiem, w którym ex post można treść niedopuszczalną skonfiskować. W danym zaś wypadku trudno było przewidzieć, jakie formy i granice przybierze wypad polityczny ze strony wysokiego dygnitarza kościelnego, któremu ta ambona przemawiająca do setek tysięcy została oddana dla celów religijnych, a nie politycznych. Nic dziwnego, że wobec takiego zaskoczenia... były liczne protesty, ponieważ na falach znalazły się tony, które przez nikogo nie były brane w rachubę ani zapowiedziane. Ponownie więc pozostaje do stwierdzenia, że sprawa byłaby prosta i przebieg jej nie zasługiwałby na komentarze, gdyby nie próby zrobienia z podobnego incydentu sprawy „cenzurowania katolicyzmu w Polsce".

Przede wszystkim najzabawniejszym w tej całej sprawie jest fakt, że zarzut cenzurowania katolicyzmu zjawił się właśnie ze *strony prasy t. zw. narodowej, t. j. tej która rzeczywiście i raz za razem z całą bezceremonialnością ten katolicyzm rzeczywiście cenzurowała i cenzuruje.* Każdemu bowiem dziecku, obeznanemu z katechizmem, wiadomo, że interpretacja stanowiska katolickiego przysługuje papieżowi, jako głowie Kościoła katolickiego, czy też powiedzmy ściśle głowie Kościołów katolickich, i tylko jednemu papieżowi. Wszystkie inne opinie to są opinie partykularne i oczywiście mogą być w ten lub inny sposób traktowane. Jest to zwłaszcza zagadnienie zupełnie niewątpliwe dla każdego polskiego polityka, który ma w praktyce życia politycznego do czynienia, i to raz za razem, z wystąpieniami wyższego i niższego kleru grecko-katolickiego. Oczywiście bowiem nikomu nie przyjdzie chociażby na myśl w Polsce, by twierdzić, że wystąpienia choćby najwyższego duchowieństwa katolickiego, a narodowości ukraińskiej, nie mogły być w ten, czy inny sposób kontrparowane. Nie wchodzimy już w takie zagadnienia, jak sprawy raz za razem zapadających wyroków z powodu nadużywania katolickiej ambony dla celów ukraińskich, wyroków, które zawsze z szczególnym uznaniem, a nawet radością są witane przez tę t. zw. narodową prasę. Niedawno zresztą temu byliśmy świadkami krytyki w Sejmie, krytyki w słowach bardzo ostrych i zdecydowanych, jednego z najwyższych dygnitarzy katolickich w Polsce, bo metropolity ks. Szeptyckiego i ponownie nikt — nie wyłączając KAP-u' — nie wystąpił z twierdzeniem, że działalność polityczna powyższego dostojnika katolickiego nie może podlegać krytyce, czy omawianiu.

W praktyce więc rządzenia Polską pomajową nigdy nie podlegała krytyce, czy utajonej cenzurze ze strony obozu rządów pomajowych, miarodajna opinia w imieniu katolicyzmu t. j. wypowiedzenia się Watykanu, podczas gdy te właśnie oficjalne deklaracje katolicyzmu *były raz za razem* cenzurowane przez ten typ organów, który obecnie słowem katolicyzm pokrywają obronę działań politycznych księdza biskupa Teodorowicza. Powszechnie bowiem jest znany całej opinii polskiej fakt, stwierdzony niezbicie i kilkakrotnie w ciągu ostatniego dziesięciolecia, że właśnie prasa, żerująca na słowie narodowy i katolicki, *opuszczała z wypowiedzień papieża Piusa XI ustępy*, które były nacechowane powszechnie znaną życzliwością i uznaniem dla Marszałka Piłsudskiego. Jeżeli więc w Polsce zachodziły kiedykolwiek wypadki „cenzurowania" prawdziwie katolickich i miarodajnych wypowiedzień się, to miało to miejsce *tylko i wyłącznie* ze strony czynników i prasy t. zw. narodowej, a zarządzane były przez pierwszego lepszego dziennikarza t. zw. narodowego. Nigdy natomiast nie miało to miejsca ze strony czynników i prasy współdziałającej z dziełem i pracami Marszałka Piłsudskiego, względnie z kontynuowaniem realizacji Jego dzieła i polityki.

Cała więc bieżąca sprawa „cenzurowania katolicyzmu" przez Radio, to jest tylko zwykły i po raz tysięczny z rzędu występujący przejaw tej całej metody, polegającej na tak trudno uchwytnym wprowadzaniu w błąd i podburzaniu opinii polskiej. Metoda ta zaciążyła tak niefortunnie na całym konflikcie z księdzem metropolitą Sapiehą, kiedy to najniespodzie-

Napiętnowanie ohydnej napaści

Zarząd Związku Legionistów Polskich ogłasza następujący komunikat:

„Zarząd okręgu Związku Legionistów Polskich i Komenda oddziału 4 p. p. Leg. Pol. w Krakowie wyrażają publicznie głębokie oburzenie z powodu umieszczenia przez redakcję „Słowa" wileńskiego w numerze 107 z dn. 21 kwietnia 1938 r. ohydnej napaści hr. Hieronima Tarnowskiego na świetlaną pamięć zmarłego senatora dr. Emila Bobrowskiego, bojownika o niepodległość Polski i wyzwolenie ludu, kawalera orderu „Virtuti Militari" i innych odznaczeń wojennych, oficera 4 p. p. Legionów Polskich.

Stwierdzamy z całą stanowczością, że ś. p. senator dr. Emil Bobrowski nie tylko nie brał żadnego udziału w wypadkach listopadowych w 1923 r. na ulicach Krakowa, lecz czynił wszelkie wysiłki, aby nie dopuścić do starcia tłumów z wojskiem. Jego głównie zasługą było, że te tragiczne wypadki zostały zlokalizowane i opanowane.

Ohydną napaść hr. Hieromina Tarnowskiego z najwyższą pogardą piętnujemy".

waniej jedno z najbardziej fatalnych postąpień ze stanowiska polityki katolicyzmu, stało się wbrew całemu rzeczywistemu układowi rzeczy środkiem do jakiejś rzekomej obrony interesów i stanowiska katolicyzmu w Polsce. W tym bowiem to wypadku, skład personalny najwyższego kleru, asystującego ostatnio przy uroczystościach kanonizacyjnych bł. Boboli w Rzymie, jest najlepszym wyznacznikiem, czyje działania są względnie były mile widziane przez Watykan. Oczywiście nie są to sprawy, w których jest wskazanym stawianie kropki nad i. Niemniej jednak poza zagadnieniem czysto wewnętrznym polskiego katolicyzmu, są to równocześnie zagadnienia, zmuszające do uwag ze stanowiska zdrowia w życiu politycznym obecnej Polski.

Weszliśmy swego czasu w życie polityczne odrodzonej Polski z niesłychanym pietyzmem dla słowa „naród" i „narodowy", by w ciągu dostrukcyjnych rozgrywek o władzę w Polsce zarówno przed, jak pomajowej, stać się świadkami wyjątkowo cynicznego i perfidnego nadużywania słowa „narodowy". Termin ten bowiem, który cieszył się najwyższą aprobatą w sercu każdego Polaka i to bez zastrzeżeń, cudzysłowów i ograniczeń, musiał być z czasem rozdzielony na termin narodowy bez cudzysłowu i termin, „tak zwany narodowy" czy „narodowy" w cudzysłowie, by wreszcie doprowadzić w opinii polskiej do zróżniczkowania terminologii na nacjonalizm konstruktywny i destruktywny. Słowo bowiem: naród i narodowy, uosobniające w całym myśleniu polskim, najwyższe wartości stało się w ręku rozmaitych partii i partyjek *liczmanem bezustannie nadużywanym* dla najbardziej pospolitych celów i spraw. Nie zabrakło również przy tym nadużywaniu słowa: naród i narodowy strony komicznej tj. posługiwania się tymi hasłami z najwyższych wymiarów dla spraw drobnych, czy różnic poglądów codziennego życia. Słusznie bowiem niedawno temu jedno z pism („Kurier Poranny") ośmieszyło w migawce ten niewątpliwy fakt nadużywania w Polsce najwyższych terminów ideologicznych, nieraz nawet np. przy łączeniu sprawy tynkowania jakiejś ściany kamienicznej z zagadnieniem „godności narodu polskiego". Doszliśmy bowiem w tej grze nadużywania słowa: narodowy do przejawów nietylko perfidnych, ale nieraz poprostu zabawnych.

Nasuwa się więc w związku z przytoczonym u wstępu incydentem radiowym pytanie czy pewien typ publicystyki w Polsce przez zupełnie samowolne i bezprawne nadużywanie słowa katolicyzm i katolicki *nie doprowadzi do podobnych przejawów* w odniesieniu do tego drugiego terminu, który niezaprzeczenie cieszy się najgłębszym respektem w polskim odczuwaniu. Bezprawnym bowiem i samowolnym z stanowiska Kościoła katolickiego, jako całości byłoby identyfikowanie słowa: katolicki z działalnością polityczną metropolity ormiańskiego, skoro nikt nie ma zamiaru przyznania tego przywileju równocześnie i automatycznie metropolicie ruskiemu! Jeśli zaś zechcemy uwzględniać fakt, że metropolita ormiański, w przeciwstawieniu metropolity ruskiego, jest Polakiem i polskim wysokim dygnitarzem kościelnym, to w takim razie sprawę jego wystąpienia musimy wiązać z *jego charakterem narodowościowym, a nie religijnym*, a tym samym sprawa wciągania w incydent radiowy zagadnienia katolicyzmu nie jest merytorycznie uzasadniona.

Nie spodziewamy się bynajmniej, — przekonać tych wszystkich, którzy próbują mącić opinię sprawą incydentu z kazaniem ks. arcybiskupa Teodorowicza. Ten bowiem cały typ opinii i prasy t. zw. narodowej, a szermującej „katolicyzmem" tylko wtenczas uznałby, że Polskie Radio „jest w porządku" z swoimi zadaniami i celami, gdyby conajmniej parę razy na dzień rozgłaszało przed całym światem, ataki na rząd, Ozon, politykę zagraniczną własnego państwa itd. itd., urozmaicając to osobistymi napaściami na wszystkie wybitniejsze jednostki, współpracujące z obecnym kierunkiem rządów w Polsce. Dlatego beznadziejnym byłoby jakieś rzeczowe i posługujące się argumentami przekonywanie ludzi złej woli, którzy np. nie zdołali zauważyć, że to kazanie księdza arcybiskupa Teodorowicza ukazało się drukiem właśnie w tygadniku, któremu przed dwoma tygodniami wytknęliśmy umieszczenie jegodnego z polskich kardynałów w porządku „czci narodowej" poniżej jednostek znanych tylko ze skazujących wyroków sądowych. Dla podobnie podstępnych popisów rzekomego katolicyzmu wszelkie argumenty rzeczowe i faktyczne są bez znaczenia i wartości, gdyż kierować będzie nimi zawsze tylko chęć wyzyskania każdej okazji dla „mącenia narodowej kadzi".

Pozostają jednak ludzie dobrej woli, zdolni do rozumowania, a przystępni argumentom, którzy przy wrodzonej religijności mają również polityczny sentyment dla katolicyzmu i jego roli w Polsce. Ten więc typ ludzi, działaczy politycznych, czy publicystycznych powinien się jednak głęboko zastanowić nad niebezpieczeństwem, by ze słowem: Kościół katolicki i katolicyzm — przez podobne gry polityczne i nadużycia publicystyczne — nie stało się to samo co ze słowem: naród i narodowy. Jeśli bowiem koła głęboko katolickie i rozumiejące to niebezpieczeństwo, *same nie zareagują przeciwko temu nadużywaniu hasła katolicyzmu dla celów ubocznych*, czy drobnych spraw życia politycznego, to wówczas ten proces rozróżniania między katolickim, a rzekomo katolickim zacznie się dokonywać sam przez się i opanuje umysłowość polską tak samo, jak dzisiaj to ma miejsce przez rozróżnianie rozmaitych nacjonalistów w polskiej polityce.

Podstawową zaś zasadą i nad wszystkim górującą tendencją katolicyzmu jest jedność i jednolitość. Podobne więc różniczkowanie się przyszłej terminologii publicystycznej w Polsce na temat katolicyzmu, nie leży z pewnością w niczyim interesie, czy raczej chyba tylko w interesie tych, którym każda droga jest dobra do ideologicznego rozbijania Narodu i myślenia polskiego.

(117).

Głosy i odgłosy

Czy spółdzielczość jest modelem?

W dn. 26 b. m. w Towarzystwie Kooperatystów w Warszawie, prof Władysław Biegeleisen wygłosił odczyt p. t. „Teoria modeli gospodarczych a spółdzielczość".

Już zapoznaliśmy naszych Czytelników z teorią modeli gospodarczych prof. B., omawiając jego dzieło pt. „Wstęp do nauki ekonomii „społecznej" (w numerach 38 i 44 „Zaczynu" z r. 1937).

Przypomnijmy tu tylko główne zręby teorii o modelach gospodarczych. Prof. Biegeleisen, wychodząc z zasad filozofii i logiki nowoczesnej, zakłada wielopostaciowość i mnogość teorii, mogących realizować postawione zadania. Odnosi się to również do zagadnień gospodarczych. Zdaniem prof. B., ekonomika ustala zasady myślenia w modelach gospodarczych, z których każdy stanowi logicznie skonstruowaną i doświadczalnie zweryfikowaną całość. A więc istnieje i obiektywnie przydatny jest dla realizacji model liberalny, jak i socjalistyczny, korporacyjny i monokapitalistyczny. W granicach tego samego ustroju gospodarczego możliwa jest symbioza w kilku naraz modelach gospodarczych, czyli współistnienie. Przechodząc do spółdzielczości, prof. B. stwierdza, że jest ona również modelem gospodarczym logicznym i zweryfikowanym.

Spółdzielczość — jako model — leży pomiędzy dwoma krańcowymi biegunami modelowymi: liberalizmem i socjalizmem.

Z liberalizmem ma wspólną płaszczyznę w wartościowaniu pracy, przyrody i kapitału, jako czynników wytwórczych, jednak system planowania oddala ją od liberalnego modelu, jak również i motywacja gospodarczej aktywności nieobliczonej na zysk.

Z socjalizmem naukowym łączy spółdzielczość postulat uspołecznienia gospodarki i system zaspakajania potrzeb miast, dążenia do rentowności. Spółdzielczość znosi nadwartość kapitalistyczną, przekazując ją spożywcom. Jednak spółdzielczość nie uznaje walki klas, koncentracji produkcji, ma niechęć do etatyzmu.

Z tych przesłanek wyłaniają się kontury odrębności systemu spółdzielczego. Jest on modelem pośrednim pomiędzy socjalizmem a liberalizmem, dobrze weryfikowanym i logicznie zbudowanym. Model ten może działać w symbiozie z modelami gospodarczymi innego rodzaju.

Mamy spółdzielczość we wszystkich ustrojach gospodarczych: w krajach liberalnych, nowokapitalistycznych, w ZSRR., w Italii, w Niemczech. Modelowość spółdzielcza przejawia się w pozornie odrębnych modelach, jak kołchozy, wytwórcze zrzeszenia komunalne w Belgii, itp.

Model spółdzielczy zdaje egzamin jako model odcinkowy, jeszcze nie osiągnął takiego stanu przepracowania, by zostać modelem gospodarczo-uniwersalnym.

Czy są na to widoki?

Dotychczas widzimy zbyt mało głębokiej pracy teoretycznej od strony ekonomiki nad spółdzielczością. Ekonomiści dla spółdzielczości są obojętni, a nawet często lekceważą ją. Płynie to z tego, że w spółdzielczości, jako w ruchu spółdzielczym górują czynniki emocjonalne nad teoretyczno - ekonomicznymi.

Abramowski panuje nad Gidem, propaganda nad ścisłością gospodarczych przepracowań i teorii.

Przyszłość spółdzielczości i jej dojrzałość do modelu gospodarczo - uniwersalnego da się osiągnąć tylko głęboką pracą teoretyczną ekonomistów nad problemem spółdzielczym.

✱

Tezy prof. Biegeleisena są nader trafne. Wystarczy skonfrontować osiągnięcia teorii spółdzielczości z zadaniami państwa, byśmy stanęli wobec niewystarczalności spółdzielczości w jej dzisiejszym stanie, jako zasadniczego modelu gospodarczo - ustrojowego. Nie przeczy to — oczywiście — faktowi istnienia spółdzielczości jako modelu odcinkowego i jej celowości, jako odcinkowego systemu gospodarczego.

Napoleon IV-ty

Rządy objął Daladier; sytuacja zmieniła się jakby za dotknięciem pałeczki magika. Robotnicy spędzający dnie całe na wiecach wrócili do warsztatów pracy, ci znowu, którzy w czasie tygodniami ciągnących się strajków okupacyjnych nie opuszczali fabryk, wieczorem poszli spać do domów, by rano stawić się normalnie do pracy. Przemysł związany z obroną narodową zapominając o wszelkich doktrynalnych ograniczeniach, sięga po dawno, zapomiane rekordy wydajności pracy. W innych przemysłach tydzień czterdziestogodzinny stał się nad podziw rozciągliwy. Wprowadzenie nowych praw strajkowych, obecnie już niepotrzebnych, zostało odłożone do chwili, gdy rząd nie będzie miał innych kłopotów. Frank trochę spadł, trochę się podniósł i utrzymuje się mniej więcej na jednym poziomie. Pięć miliardów nowiuteńkich banknotów, świeżo wyszłych z pod pras Banku Francji daremnie kusi nowego ministra finansów. P. Marchandeau wzbrania się je przyjąć. Narazie bez nich się obejdzie, pieniędzy ma podobno wbród. Zamrożone podatki, jakby pod wpływem wiosennego słońca zaczęły nagle tajać; miliardy franków spływają wezbraną falą do kas państwowych.

Jednocześnie ucichły burzliwe zgromadzenia, domagające się interwencji w Hiszpanii. Nikt już nie grozi przewrotem, rewolucją, przełomem. Okazało się nagle, że dwa bratnie narody łacińskie, francuski i włoski, dzieli jedynie śmieszna kwestia protokularna, parę słów jakie ma wypowiedzieć nowy ambasador. Poważne przeszkody w gruncie rzeczy nie istnieją.

Cóż się właściwie stało? Czy Edward Daladier zastosował jakieś nowe, rewelacyjne metody? Czy jakimś wspaniale efektownym posunięciem porwał w przypływie entuzjazmu wszystkich Francuzów? Czy rzucił robotnikom strajkującym jakieś nowe hasła obiecujące życie bez trosk i tym ich namówił do podjęcia przerwanej pracy? Nic podobnego: Nowy premier nie odbiegł w swej polityce (wyjąwszy stosunki z Włochami) zbyt daleko od programu swych poprzedników, pp. Bluma i Chautemps.

Zmiana jaka zaszła w sytuacji wewnętrznej Francji jest możliwa do wytłumaczenia jedynie na płaszczyźnie psychologicznej. Nastąpiło to o czym niejednokrotnie pisaliśmy na tym miejscu. Naród francuski zdał sobie sprawę z powagi sytuacji międzynarodowej, z groźby wojny wiszącej nad światem, z konieczności nadania swemu głosowi na arenie europejskiej brzmienia odpowiadającego tradycji, kulturze i sile swego kraju.

Upadek rządu Bluma uzmysłowił szerokim rzeszom, że z dalszymi zdobyczami społecznymi trzeba poczekać, że trzeba z nich zrezygnować na rzecz czynnika nadrzędnego jakim jest państwo. Gdy Leon Blum nie umiał pogodzić programu frontu ludowego z racją stanu, widocznie pogodzić tych czynników nie można. Oto powód paradoksalnego stanowiska lewicy francuskiej, która piętrząc trudności na drodze swego przedstawiciela, usuwa przeszkody z drogi p. Daladier.

Premier nie przedstawia zresztą sytuacji w zbyt różowych barwach. Roczny dochód narodowy wynosi 250 miliardów franków, wydatki państwa i samorządu — 110 miliardów. Równowagę gospodarczą kraju może przywrócić jedynie wzmożenie produkcji i obrotów. Z zagadnieniem tym wiążą się wszystkie zagadnienia polityki nie tylko wewnętrznej, lecz i zagranicznej. P. Daladier, oświadczył, że jeśliby Francja nie chciała w przyszłości więcej pracować, to w pewnym momencie znajdzie się wobec sytuacji, której jedynym rozwiązaniem byłby system totalny.

Nie darmo nazywają p. Daladier Napoleonem radykałów. Względnie łatwo zdobywa sobie posłuch. Chwilami łatwo ulec wrażeniu, że gdyby na jaw wypłynęło jakieś odległe, choćby nawet nie bardzo pewne. pokrewieństwo z Korsykaninem, doczekalibyśmy się... Trzeciego Cesarstwa!

Ale nawet nie uciekając się do ryzykownych i z natury rzeczy żartobliwych porównań, można stwierdzić, że pozycja p. Daladier jest obecnie bardzo mocna. Wpłynęło na to w dużej mierze stanowisko wszystkich posiadających od drobnych rentjerów do wielkich finansowych magnatów, którzy w owych zarządzeniach rządu widzą rękojmię stałości waluty i rozwoju ekonomicznego kraju.

Powrotu zaufania nie zahamowały nawet zapowiedzi nowych podatków. Każdy chętnie płaci gdy wie, że jego pieniądze zostaną użyte w sposób właściwy. Zresztą Francja nie będzie zdana wyłącznie na własne kapitały. Stany Zjednoczone, a przede wszystkim Anglia, chętnie pomocą Trzeciej Republice. Sprawy finansowe mają być jednym z problemów poruszonych w czasie wizyty ministrów francuskich w Paryżu. Pomyślne ich załatwienie nie ulega wątpliwości, tak samo jak pewnym się wydaje porozumienie we wszystkich kwestiach dotyczących polityki zagranicznej.

Poprawa sytuacji wewnętrznej Francji, wraz z układem angielsko-włoskim i mającym nastąpić niebawem układem francusko-włoskim, stwarza w Europie nowy układ sił, w którym aljans francusko-angielski staje się czynnikiem decydującym.

Aleksander Świętochowski

Po 3-tygodniowej upartej walce z chorobą zmarł w 90-ym roku życia ś. p. Aleksander Świętochowski, historyk, krytyk i filozof, człowiek, który był symbolem epoki. Wielki indywidualista, ideowo związany z ruchem pozytywistycznym, we wszystkich swych wystąpieniach publicznych bronił praw człowieka, szukał jego wiecznej treści, wierząc uparcie w postęp, zwycięstwo i solidarność. Jeżeli wojujący pozytywizm odniósł na pewien czas zwycięstwo, to zawdzięcza to głównie dialektyce Świętochowskiego. Bronił on młodzieży od wpływów rosyjskich, mając do pomocy całą elitę postępową kraju.

Żywotność jego umysłu była zadziwiająca. Przez całe życie pracował stale nad sobą, śledząc dzieje myśli ludzkiej w ciągu wieków i modyfikując swoje poglądy. Pracował do ostatnich niemal chwil swego życia. Jeszcze przed dwoma laty ukazały się dwie jego książki: powieść pt. „Twinko", praca historyczna pt. „Genealogia teraźniejszości".

Ś. p. Aleksander Świętochowski, urodzony w 1849 w podlaskim Stoczku, uczył się w Szkole Głównej w Warszawie, a następnie w Lipsku, gdzie w 1876 r. uzyskał doktorat filozofii. Pracował początkowo w różnych czasopismach warszawskich („Tyg. Illustrowany", „Przegląd Tygodniowy", „Gazeta Polska", „Nowiny" itd.), po czym od 1881 r. wydawał przez lat 20 „Prawdę". W latach 1908 — 1912 był redaktorem i wydawcą „Kultury Polskiej", w latach 1910 — 1915 — „Humanisty Polskiego".

Działał jako publicysta, felietonista, dramaturg, nowelista, powieściopisarz. Z długiej listy ogłoszonych drukiem prac Świętochowskiego wymienić należy jego „Dumania pesymisty" (1877), „O epikureizmie" (1880), „Poeta jako człowiek pierwotny" (1896), „Obrazki powieściowe" (1896—1897), „Bajki" (1897), „O prawach człowieka i obywatela", „O prawach mniejszości" (1907), „Utopie w rozwoju historycznym", „Źródła moralności" (1912), „Historia chłopów polskich" (2 tomy — 1925 i 1928), „Nałęcze" (1929), „Twinko" (1936), „Genealogia teraźniejszości" (1936).

W r. 1927 ś. p. Świętochowski odznaczony został nagrodą literacką m. Łodzi.

W ostatnich latach mieszkał i zmarł w majątku swoim Gołotczyźnie w powiecie ciechanowskim.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11-97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544

Numer pojedyńczy 30 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. — trzymiesięczna w kraju 2 zł. 50 gr. — zagranicą 4 zł. 50 gr.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski** Sekretarz Redakcji: **Józef Mrozowicki**

Godziny przyjęć redakcji: 17 — 18 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 9 — 15 prócz sobót

Zakł. Graf. „Drukprasa" Sp. z ogr. odp. N.-Świat 54, tel.: 615-56 i 242-40.